№ 2.

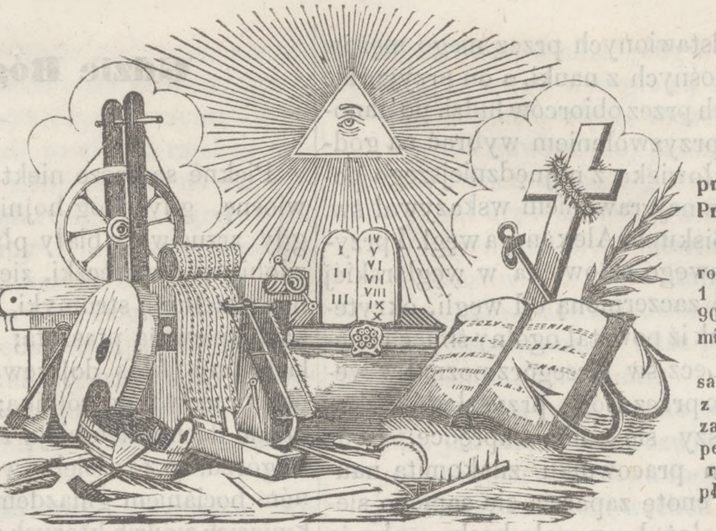
Warszawa.

D. 1 (13) Stycznia

1856.

Niedziela

Ś. WERONIKI.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Przyjmij Panie modlitwy i żądania ludu proszącego. i zléj na nich twoje błogosławieństwo, ażeby i to co mają czynić poznawali, i do wypełnienia tego, co poznają, mocnymi byli. Modlitwa kościelna na Niedzielę 1 po Trzech Królach).

Żywot ś. Alexandra Męczennika Węglarza.

W zeszły piątek przypadła w kościele Katolickim uroczystość S. Alexandra Męczennika Węglarza. Ciekawą i pożyteczną będzie rzeczą dla was poznać życie i cnoty tego Męczennika.

Dał Bóg Alexandrowi wszystko, czego ludzie najżywiéj pragną: wysokie urodzenie, bogactwa, urodę, rozum i najpiękniejsze serca przymioty. Ale dusza jego przeczuwała i łaknęła innego dobra, którego świat nie daje. Rozmyślał on wśród tych ponęt ziemskich o wielkiéj i najważniejszéj dobie naszéj doczesnéj pielgrzymki, o godzinie śmierci, pamiętny na owe słowa ewangielii: „Cóż przyjdzie człowiekowi, chociażby świat cały zyskał, jeżeli duszę swą zatraci?

Dlatego Alexander S. postanowił oddać ziemi, co jest ziemskiego, a Bogu, co Boskiego. Ogromny swój majątek, który po wcześnie zmarłych a bogatych rodzicach odziedziczył, sprzedał, pieniądze rozdał między ubogich, a zatrzymał sobie tyle tylko, ile mu potrzeba było do wyuczenia się jakiego rzemiosła. Wszak i Piotr S. był z rzemiosła rybakiem, S. Paweł pracą rąk zarabiał na kawałek chleba, S. Józef był cieślą, a nawet Chrystus pierwsze lata na ziemi spędzał w jego warsztacie.

To też oddanie się rzemiosłu nie było w oczach Alexandra najwyższą zasługą, czynili to przed nim inni, a nawet poganie. Trzeba się zaprzeć samego siebie, wziąć krzyż i iść za Chrystusem, kto go naśladować pragnie. Tak też uczynił Alexander święty. Opuścił znajomych, przyjaciół, krewnych, ojczyznę własną, i po długiéj wędrówce osiadł we Włoszech w okolicach miasta Komano, aby tu samotne i dalekie od ludzi życie prowadzić; zakupił węglarnią, wyuczył się rzemiosła, pracował w łachmanach prostego węglarza, wiódł żywot w nędzy, a wszelką korzyść ze swéj pracy, nawet odzież, żywność i węgle, oddawał ubogim. I tak już wiele lat przeżył i przez swe cnoty stał się głośnym dobrodziejem okolicy. Ale Opatrzność gotowała dla niego inne powołanie. Po śmierci Biskupa miasta Komano, kiedy duchowieństwo i lud zaprosili sławnego Biskupa św. Grzegorza Cudotwórcę do obrania następcy zmarłego, wezwany z natchnienia bożego, gdy obierający zgodzić się nie

chcieli na przedstawionych przez niego mężów znakomitych i głośnych z nauki, a on przyjąć nie mógł podawanych przez obiorców ludzi, postanowił za wspólném przyzwoleniem wybrać na godność biskupią, człowieka z najnędzniejszego pospólstwa. A lud z najgrawaniem wskazywał św. Grzegorzowi na Biskupa, Alexandra węgl. I przyprowadził mu owego człowieka w węglarskiéj odzieży, z twarzą zaczernioną od węgli, okrytego łachmanami, tak iż powstał ogólny śmiech między zebranymi. Lecz św. Grzegórz poznał w węglarzu wybranego przez Boga, przyszłego Biskupa, a rozmówiwszy się z nim naprędce, i odkrywszy w owym pracowniku znakomitą naukę, i najwyższą cnotę zaparcia się samego siebie dla Boga, przełożył mu wolę boską, aby ją z pokorą przyjął i uczynił, co po nim wymagać będzie. Poddał się temu Alexander S.

A św. Grzegórz cudotworca powróciwszy do zgromadzonych, oznajmił, iż im przedstawi przyszłego Biskupa. I wszedł zaraz człowiek, który dla pięknéj urody i łagodności oblicza podobał się wszystkim. Tym człowiekiem był on biedny i okryty łachmanami węglarz z okolicy Komano, teraz obmyty z węgla i stosownie odziany, a gdy przytém na powszechne żądanie wszystkich, św. Alexander odezwał się do zgromadzonych, gdy w téj mowie rozwinął i piękny swój talent wymowy i naukę zadziwiającą duchownych i świeckich, gdy nadto św. Grzegórz cudotw. opowiedział im żywot owego węglarza, wysokie a ciche jego cnoty, dobrodziejstwa ludziom świadczone, mieszkańcy Komano i duchowieństwo zgodzili się na wybór Alexandra i św. Grzegórz śród ogólnéj radości poświęcił węglarza na godność Biskupa. Ten wysoki jednak zaszczyt w duchowieństwie nie zmienił w niczém Alexandra św.; zawsze skromny, pracowity, poświęcający się dla innych, był dobrodziejem, prawdziwym ojcem i najgorliwszym pasterzem powierzonéj sobie trzody duchownéj. Aż nareszcie w czasie prześladowania chrześcian przez pogaństwo, poniósł męczeńską śmierć dla Chrystusa, bo nie uląkł się głosić, iż gotów dla imienia Jezusa, i dania świadectwa nauce Jego, umrzeć, jak pasterz Kościoła Chrystusowego. Z temi też słowami w ustach spłonął na stosie ognistym św. Alexander węglarz.

Gdzie Bóg mieszka.

—

Piękne są nasze niektóre wioseczki czy to na wiosnę, gdy Bóg hojniéj rozsiéwa dary swoje, gdy zrzuciwszy biały płaszcz ziemia, nagie pola zdobi w kwiateczki, zieloną trawkę, a po dolinach szemrzą strumyki, a po zielonych krzaczkach śpiewają ptaszęta; czy latem, gdy na polach buja kłos dojrzewającego zboża, radując oko pracowitego rolnika; czy w zimie, gdy słomiane dachy ciemnieją zdala, to w dolinie to na wzgórzu, to z kościelną wieżyczką, to z opuszczoném bocianiem gniazdem. Uroczy to widok tych kmiecich siedzib, których mieszkańcy chwalą Boga uczciwą pracą, z potem czoła orząc rodzinną skibę przestają na małém, dzieląc się zarówno kęsem chleba, szczęściem, i złą dolą. Bo Bóg szczęścia nie stworzył tylko dla pałaców, a niedoli dla ubogich prostaczków; niedola dotyka tych którzy na Boską łaskę zasłużyć nie chcieli, a szczęście zlał On w mądrości nieprzebranéj, na wszystkie zarówno dzieci swoje, jako dobry Ojciec, a zarobić na nie dozwolił: sumienną pracą, miłością Boga i bliźniego, oraz czystém i nieskalanem sumieniem! O Bóg! ten stworzyciel świata, co go wywiódł z nicości i oddał Syna swego na męki dla odkupienia rodu ludzkiego, wszystko urządził dobrze, i gdybyśmy darów jego używać umieli, byłby raj na ziemi, raj, który dopiero wybrani osiągną po życiu częstokroć spędzoném w trudach, łzach i strapieniu!..

Jednę z takich zagród spotykamy nieopodal brzegów rzeki Wieprza, w uroczéj Lubelskiéj ziemi, po obu stronach traktu wiodącego z Sawina do Chełma; stały jéj domy rzędem jedne obok drugich, poprzedzielane ogródkami z drzew owocowych, na których latem czerwieniały wiśnie, jabłka, żółciały gruszki, lub sine oblicza zpomiędzy listków pokazywały śliwki. Gdzieniegdzie pod oknem były i kwiateczki, zasadzone pewno ręką jakiéj wiejskiéj dziewoi, by niemi ozdobić święty Ołtarz w parafialnym kościołku, który wśród wiejskich domostw wystrzelił wieżycą w górę, lub wśród cmentarza, co nieopodal wsi stał z krzyżami, na mogile ukochanych, rzucić je skropione łzami! Bo miłość, którą Bóg wlał zarówno w serca ludzi, masz-li kończyć się z życiem tych, z któremi łączyły nas krwi związki? ta miłość święta, najpiękniejsza ozdoba ro-

du ludzkiego? Nie, mili bracia moi, ona nie ma końca, i wiąże serca nasze poza grobem, gdzie w obliczu Pana nad Pany kiedyś złączymy się już bez rozdziału. O! będzie to chwila rajskiéj słodyczy! Ale jakże tu na ziemi zarobić na nią, może mnie zapytacie? Najłatwiéj: kochajmy tylko Boga i bliźniego, znośmy z męztwem i poddaniem woli najświętszéj krzyże żywota, wypełniajmy obowiązki, które nam Bóg zlecił, a spełniwszy to wszystko, niebawem ujrzymy się z kochanymi, których opłakaliśmy na ziemi, i żyć będziemy z nimi w nieskończonéj chwale i miłości. I Bóg będzie z nami, i Aniołowie i Święci pańscy.

Każdy kto przejeżdżał przez tę wioskę, widział najpierwéj domek na wzgórzu wśród drzew zielonych, który struga przez łąkę płynąca oddzielała od sąsiednich zabudowań. Jasne jego ściany zdobią sześcio-szybowe okna, biały komin sterczy nad słomianą strzechą, płot starannie upleciony objął go serdecznie wokoło razem z ogródkiem, który od zachodniéj strony rozrzucił zielonych drzew listki na nizkiéj strzesze. Z jednéj jego strony stała drewniana ławeczka, z drugiéj leżał kamień wielki, a u progu spoczywał wierny Kundys, co strzeże zagrody od nocnéj kradzieży i przychodnia wita głośném szczekaniem. Za białym domkiem i zielonym ogródkiem, szły gospodarskie zabudowania, równie porządne, a na stodole pełnéj zboża, siedząc w gnieździe, klekotał bocian. W izbie zaś, czy w dzień powszedni czy świąteczny, porządnie i czysto; białe ściany, bielsze ławy i stoły, a w szafeczce za szkłem garnki, miski polewane i łyżki cynowe świeciły jak srebro, a na ścianach wianeczki święcone, i Matka Najświętsza i ukrzyżowany Jezus. I skoro świtanie błyśnie na niebiosach, pieśń w chałupie chwali Stwórcę, a zapadającą nocą dziękuje za dzień szczęśliwie przebyty i dary Jego. I potem sen spokojny ogarnia jego mieszkańców, i Anioł Stróż zstępuje z Nieba, staje u progu i roztacza nad niemi białe skrzydła swoje, jako opiekun cnotliwych. Do kogóż to należy ta schludna zagroda, może mnie zapytacie mili bracia czytelnicy? Czy to jaki zagonowy szlachcic jéj panem, wójt, lub odludek co się skrył od świata, wśród tych pól strojnych zielonością i bujnym kłosem, żyje swobodnie? Nie, moi przyjaciele, tu mieszka gospodarz téj wsi jak inni, którego zowią powszechnie Filipem z za wody, prosty rolnik jak drudzy, on także z wszystkimi zarówno wiedzie pług w pole, żnie i sieje, pytając nucącego nad głową swoją skowronka:

Co tu ciebie więzić może,
Co tak zawsze mój ptaszyno
Gdy dzień świeci i ja orzę,
Ty mi krążysz nad równiną?
Kiedy nucąc pieśń niewinną,
Bujasz, witasz świt różany,
Przecie wioskę znajdziesz inną;
Czystsze niebo, żywsze łany.

A skowronek odpowiadał:

Milsza dla mnie strona twoja,
Bo jak wiosna się rozwiła,
To najpierwsza niwa moja,
Na twéj rólce mi wschodziła;
Kiedy jutrznie zarenieją,
I ja z pieśnią się odzywam,
Wonią niwy i młodnieją,
Ja o twojéj rólce śpiewam.

On jak inni, pasa trzody na zielonych niwach, jak inni zbiera z pola, a jego łączka z bujniejszą trawą obudza zazdrość w sąsiadach, i pola z piękném zbożem, bo na nich rodzą się czy rok suchy, czy mokry, jednakie kłosy i wielkie jak nigdzie kartofle; — a w ogródku drzewa gną się pod owocem, a z uli miód zdrojem płynie, krówki zalewają mlékiem, koniki żwawsze, woły skorsze do roboty. Gdy Filip ma siać, żąć lub kosić łąkę, wiedzą sąsiedzi że będzie pogoda, a w chałupie zdrowie, szczęście, gospodarz i gospodyni, czworo dziatek; czerstwi, rumiani i zawsze weseli. A gdy cholera, co Bóg zsyła za grzechy ludzkie, kładzie ofiary, we wsi dzwonią a dzwonią po umarłych, i ksiądz staje przed niejedną chałupą zaśpiewać pieśń pogrzebową, sypią i sypią mogiły na parafialnym cmentarzu, w domku Filipa niéma smutku ani łez, choroby ani śmierci. I jemu dzwony zadzwonią, ale na zakupioną mszę przez niego, którą z rodziną swoją słucha, krzyżem leżąc bogobojny kmiotek, dziękując Bogu za łaski. I ksiądz stanie u progu Filipowego, ale wtedy gdy go on poprosi, aby mu zagrodę wyświęcił, i modlitwą oddał Boskiéj opiece! Nieraz zszedłszy się jego sąsiady w dzień niedzielny do karczmy, na tę nieznośną wódkę, co odbiera rozum, niszczy zdrowie, i do nędzy wiedzie rodziny, gwarzyli o nim, i raz pytał Andrzéj Jakóba:

— Powiedzcie mi kumie, bo człowiek już w głowę zachodzi, co to się dzieje z tym Filipem, że on taki bogacz i do wszystkiego szczęśliwy?

— Czarownik — rzekła baba podchmielona, siedząc nieopodal rozmawiających.

— Ej, ot czarownik, odezwał się Bartek z kąta, ludzie mówią że on znalazł pieniądze, jak wybierał studnię; po całéj wsi kopali i kopali, i nie dokopali się kropli wody, a on jeno rydlem szturchnął, aliści i woda wyskoczyła i pieniądze wykopał.

— Widno, że znalazł—rzekł Andrzéj—bo na jarmarku w Chełmie to samém czyściuteńkiém złotem płacił, aż oczy bolały patrzeć na nie.— A żydy mu się kłaniali i gadali mu: panie Filipie, proszę siedzieć, co pan chce? A on żydowi: głupiś, ja nie pan, tylko prosty chłopek.—A żyd mu: nu! nie pan, kiedy waść masz więcéj złota jak waści dziedzic, co koczem paraduje, i ma sześć wsiów?

— Tak mi Bóg dał — odpowiedział Filip i zdjął czapkę, jak to mówił, i skłonił się niziuteńko patrząc w niebo.—To znowu żydy szemrali: A masz waść miód na przedaż, pszenicę na pejsak? A mam, gadał Filip i sto garncy miodu i pszenicy cyściuteńkiéj pięćdziesiąt korcy.—A żydy mu się kłaniali: aj waj. A co nakupował wtedy kożuchów, czapek, czypków dla kobiety, obówia, szmat, siermięg dla dzieciaków! Póki żyć będę, już nie będę tego widział. Podszedł do niego wtedy Matyas, ot wasz sąsiad Bartku, pokłonił mu się i prosił: mój Filipie, pożyczta mi na kożuch, bo zmarznę w zimie; a on mu na to: A co ja lepszego od ciebie? moglìšta mieć takie jak i ja pieniądze — nie takiś gospodarz? nie temu Panu służysz? nie przepijaj na gorzałkę pieniędzy co zarobisz, to i ty i twoja żona, i twoje dzieci kożuchy mieć będą i nie będą marzli. Nie dam, aż się poprawisz, wtedy nie pożyczę, ale co dam, to daruję. A żydy mówili: dasys recht, dasys recht. A Matysisko oblizawszy się poszedł w kąt.

— Oj poprawił się djable, odezwał się jakiś porządny gospodarz, siedząc przy rogu karczemnego stołu przy piwku, bo wczoraj w dzień roboczy leżał jak kłoda w rowie. A w chałupsku wszyscy goli bez kożuchów i koszul na grzbiecie, a zima za pasem.

— A jaki szczęśliwy ten Filip— mówił daléj Andrzéj—na jarmarku w Chełmie toć się nastałem caluteniuśki dzionek, żeby konia przedać, i bies nie zapytał o niego, a jak kto zagabnął, toć i odchodził mrucząc, że droga, a on ci gorszą łysą wywłókę przedał odrazu i dobrze mu zapłacili żydziska.

— Czarownik istny — mruczało pijane babsko, kiwając się na ławie.

— Czarownik jak czarownik, ale z biesem ma sprawę, dodał stary jakiś pijaczyna bełkocąc, obdarty, bez podeszew u butów—ho, ho, on by palcem kiwnął, to mu biesy naślą, i pszczół i zboża i bydła i szkap i Bóg wie nie co. A nikomu pewno nicby nie dał, ot żeby człowiek poszedł do niego, pewnoby wygnał od proga.

— O że wygnałby, to wygnał, i Kundysem jeszcze wyszczuł, odpowiedział gospodarz, co przy rogu stołu siedział, spozierając na obdartusa, co na wódkę wszystko wyniósł — boć on pijakom nie dawa, tylko uczciwym ludziom. Ot widzita, synowi Mateusza, co na końcu wsi osiadł po ojcu na gospodarstwie, co to mu na przednówku rodzic pomarł na cholerę; toć mu powiedział, gdy ten nie miał na zapomogę: Maćku, dobry ty chłopak, porządny, uczciwy, nie pijak, nie bałamucisz się, dojrzałeś ojca w chorobie, nie żałowałeś na leki, pogrzebałeś uczciwie, dałeś i na mszę za jego biedną duszę: masz oto zapomogę i dał mu jak szkło trzydzieści rs., i powiedział jeszcze: a żeś dobry syn i trzymasz matkę starą przy sobie, to masz i moję córkę za żonę, a po córce weźmiesz sześćset rubli.

— Czarownik, czarownik! — bełkotała baba w stół nosem szturchając.

— O kim to waszmościów gadanie? wolno pitać—rzekł pokornie żydek jakiś podróżny.—Czy o panu Filipie co to za wodą mieszkuje?

— A juści o nim—odpowiedzieli.

— Nu to pan, on niedługo będzie waszego dziedzic, ale co uczciwy, to uczciwy clowiek, bardzo uczciwy, nie ma co mówić.—Ja na jarmark w Chelmie zgubil, aj waj calego mój majątek; i żony i dzieciów, i ja, byliby bez kawalek chleb, zdechliby z glodu; to ja biegal po rynek i kzycal: gwalt, gwalt, zgubil gielt, kto Bóg miluje niech oddać gelt, calego biednego Judki majątek, ubogiego żydek i jego dzieciów, i jego Siory.—Filip to sluchal, zawolal mnie i pita: Judku, co ty tak ksycys? a ja mu: aj waj ja zgubil gelt.— Co to za gielt? on pita.—Pieniądzów.— A jakie to byli?—Sto rublów papierkami. — A w czém oni byli? W skórzanego worek z sznurków cerwonego.— I on mi pokazać mojego worek, a ja gwalt krzyknąl, i zlapowal się za brodzie i tręsil się i tręsil — a Filip pita: Judku co tobie takowego? oj panie Filipku mówilem, jaki ty uczciwego clowiek— a on powiedzial: chodź

ze mną do burmistrz. A to po cego? pitam,—bo to może nie twoje pieniądzów, może ty sliszal ze kto zgubil, i mówić że to twoje. — I pośli mi do burmistrz, ale pan burmistrz dobrze znać ubogiego Judkie, i kazal oddać, to ja się téz trzęsil jak on mi oddawać; a jakiegoś stal przy nim i gadal: Oj glupiś ty Filipie, żeś temu żydowi niedobremu oddal pieniądz; — a Filipek odpowiedzial: taki on czlowiek jak inny, tak go Bóg stworzyć jak i nas, i on tego Bóg milować co i my—nie chcę ja cudzego grosz ani kradzionego, ani krzywdą ludzką nabitego, bo by mi te co to ja zarobi z krwawego pot czołem, wyprosil z komora. A ja go za to pocalowal w rękę i powiedzial: że będę krzycal, że takiego jak pan Filipek nie ma na calego świat. — Daj to Bóg niech on będzie wielkiego pan, to Judka u niego będzie faktorżyć.

Gdy to domawiał ubogi żydek, odezwał się dzwon kościołka, a wszyscy powstawszy rzekli:

— Dzwonią na naukę — chodźta, chodźta dzieci, rzekł gospodarz przy rogu stołu siedzący i poszli. Pijana tylko baba i stary pijaczyna bez podeszew u butów upadli pod ławę, i chrapali na całą izbę jak bydlęta, gdy ludek pobożny zbierał się na modlitwę do kościołka.

Po małéj chwili napełniła się świątynia, starzy stanęli z tyłu, a gromadka wiejskich dzieci posunęła się przodem. Przyszedł i ksiądz proboszcz siwy jak gołąbek, i po modlitwie ogólnéj głośno na klęczkach odmówionéj, zapytał dzieci:

— Gdzie Bóg mieszka?..

Chłopak jasnowłosy około lat czternastu mający, uprzedzając wszystkich, wystąpił naprzód i odpowiedział:

— U Filipa za wodą, Dobrodzieju.

— Jak to,—rzekł ksiądz,— przecie Bóg jest w Niebie, na ziemi, i na każdém miejscu, już tyle razy wam o tem mówiłem.

— Oj prawda Dobrodzieju—krzyknęła rzesza prostaczków—prawdę mówi Jonek: Bóg mieszka u Filipa, bo tam wielkie szczęście.

— U Filipa mieszka, ciągnęło daléj pacholę, tak mawiali tatulo i matula nim pomarli, bo tam gadali oni niema obrazy Boskiéj, niema krzywdy ludzkiéj, niema pomsty, przekleństwa i pijaństwa; a u Filipowego sąsiada Matyasa, tatulo gadał: że czarci kręcą, bo tam i piją i biją się, i grady młócą cepami zboże i pioruny palą, i chałupisko się wali, i dzieciska wymarli, tam widno Bóg nie mieszka, Dobrodzieju? dodał dzieciak do nóg schylając się proboszcza.

I młode chłopie rozwiązało zagadkę, któréj przed chwilą sąsiedzi Filipa w karczmie odgadnąć nie umieli. Nie znalazł on pieniędzy, jak tam mówili; nie czarownik i z biesem nie ma sprawy, ale z Bogiem, bo Bóg mieszka na progach cnotliwych, Bóg ich wspiera i pomaga!

I ksiądz proboszcz rzekł do Janka: prawda, dziecię lube, gdzie miłość Boga i bliźniego, uczciwa praca, sumienny zarobek, tam mieszka Bóg i strzeże dobra sprawiedliwego, zasłania od klęsk i moru. Ale gdzie niema miłości Jego, gdzie podłość, zdzierstwo, pijaństwo, oszustwo, na progu domowym złorzeczenia i przekleństwo, tam niema Boga, niema i szczęścia.— Pamiętajcie, dodał proboszcz, podnosząc głos w świątyni, żyć bogobojnie jak Filip, a Bóg pobłogosławi wasze domy, wasze pola, wasze dzieci, i prace wasze i później, gdy wybije ostatnia godzina, czyści staniem przed Bogiem, gdzie ciężki rachunek czeka grzesznika. — Proście Boga, wołał osiwiały pasterz, padając na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i wyciągając doń drżące ręce, proście, aby Bóg wstąpił w serca wasze i na progi wasze, dzieci moje, i odwiódł od złego. — A rzesza upadła na kolana i wołała z płaczem: Panie, Panie, wstąp w serca nasze i progi nasze!

I ściany skromnéj świątyni wiejskiéj rozlegały się płaczem, a ludzie wołali i wołali:

Panie! Panie wstąp wśród nas!

Sól.

Soli są różne gatunki: ta o któréj tu mówić będziemy, znaną jest każdemu z codziennego jéj użytku, pod nazwą soli kuchennéj.

Do pierwszych potrzeb życia sól policzyć można; niezbędną ona jest dla człowieka, a sam wstręt jaki czujemy do pożywienia bez soli sporządzonego, dowodzi widocznie, że natura wskazała potrzebę jéj użytku.

Dobroczynna Opatrzność wskazawszy tak istotną żyjącym potrzebę pożywania soli, dała ją oniemal na każdéj części ziemi naszéj, zostawiając wyszukanie i dobywanie jéj przemysłowi i pracy człowieka.

Sól znajdujemy w stanie płynnym we wszystkich morzach, niektórych jeziorach i wielu

źródłach; w stanie zaś bryłowatym w głębi ziemi.

W pierwszym razie dla otrzymania soli, należy ją oddzielić od części wodnych, a po osuszeniu pozostaje sól czysta, sucha, do użytku przydatna.

Proste jest postępowanie przy otrzymywaniu soli z wody morskiéj, która w napełnionych kadziach na 6 do 8 cali głębokości, wystawiona na otwartém powietrzu na działanie słońca i ciepłéj temperatury (powietrza ciepłego), osadza po ulotnieniu części wodnych, czystą sól na dnie kadzi. Sól tę zowią morską.

Dłuższe jest postępowanie w otrzymaniu soli z wody źródlanéj; i tu główną jest podstawą ulotnienie czyli wyparowanie części wodnych i osuszenie części solnych, co za pomocą gotowania w budynkach do tego urządzonych dokonywa się; sól tym sposobem otrzymywaną zowią Warzonką. Jestto ta sól biała i drobna, którą mamy codziennie w używaniu. W kraju naszym znaczniejszy zakład warzelni soli jest w Ciechocinku nad Wisłą, w gubernii Warszawskiéj.

Sól twarda, którą znamy w dużych bryłach, koloru zielonkowatego, znajduje się w tym stanie jak ją widzimy, kilkaset sążni pod powierzchnią ziemi.

Kopalnie soli w Wieliczce zaopatrują kraj nasz w ten gatunek soli; bliższe opisanie Wieliczki, obznajomi czytelnika z największą w świecie kopalnią soli i ze sposobem dobywania takowéj.

Wieliczka miasto w Galicji, w okręgu bocheńskim położone, o 2 mile od Krakowa, liczy około 7,000 ludności. Kopalnie soli znajdują się pod miastem, lecz to wcale nie grozi jego bezpieczeństwu. Na 600 stóp w głębi ziemi napotyka się pierwszą sól czystą i bez części ziemnych, im głębiéj tém jest coraz czystszą i ściślejszą. Żeby dać czytelnikowi obraz tych ciekawych kopalni, niech sobie wyobrazi wykute w skale sklepienia ogromnych rozmiarów, które połączone z sobą długiemi korytarzami, szychtują się na 4 piętra; niech pomni, że sklepienia te są wykute w czystéj soli, że wielkość ich dochodzi, a niektórych i przenosi objętość największych kościołów, że znajduje się na kilkaset sążni pod powierzchnią ziemi, a będzie miał słabe wyobrażenie o wielkości tych jedynych w swym rodzaju kopalni. 800 sążni głęboko śmiały górnik zapuszcza się w łono ziemi i nie natrafił jeszcze na koniec pokładów soli; słusznie więc utrzymywać można, że kopalnie te są nieprzebrane. Do 1,000 robotników pracuje, lecz tylko we dnie; mylném jest upowszechnione mniemanie, jakoby ci pracowici ludzie światło dzienne tylko w niedziele i dni świąteczne oglądali; praca ich jest bardzo uciążliwa. Dobywanie soli polega głównie na odrąbywaniu odznaczonych filarów i przerąbywaniu takowych na bałwany wedle wskazanego wymiaru; większe bryły rozsadzają prochem, okruchy pakują w beczki, na taczkach długiemi gankami zwożą sól do komor, w których się znajdują lufty; windami na powierzchnią ziemi wydobyta, w składach do sprzedaży jest wystawioną.

Kopalnie w Wieliczce należą teraz do rządu Cesarstwa Austrjackiego; dostarczają one przeszło miljon centnarów soli rocznie, z któréj połowa do kraju naszego sprowadza się. Zwiedzający te kopalnie podziwiają ich ogrom i zwracają głównie uwagę na wykutą w soli kaplicę, poświęconą św. Antoniemu; jest w niéj ołtarz, ambona, krzyż Zbawiciela, statua św. Antoniego i inne ozdoby, a to wszystko z soli.

W dnie uroczyste i pamiętne dla kopalń, odbywa się w nich nabożeństwo. Ciekawem tam jest jeziorko długie 27 sążni, szerokie 7, a 6 głębokie; jest ono ku zabawie gości i dla urozmaicenia salin utrzymywane. Sądzićby należało, że woda ta z czasem mogłaby uszkodzić kopalnie przez rozmiękczenie soli; tak jednak nie jest, bo woda w jeziorze tak jest przesycona solą, że jéj już więcéj przyjąć nie może; na urządzonym promie zwiedzający kopalnie, przez to jezioro przewożą się, chcąc daléj odbywać swe odwiedziny.

Dla urozmaicenia tego życia podziemnego, nie przepomniano także i o sali balowéj; ta wykuta w podłużny czworokąt, z galerją, filarami, ma tylko posadzkę ułożoną z drzewa, świeczniki i żyrandole nawet są z soli.

Bardzo dawno już, kopalnie soli w Wieliczce i w pobliskiéj Bochni, były mieszkańcom tych stron znane, lecz pewniejszą o nich wiadomość mamy z czasów, w których panował w Polsce Bolesław Wstydliwym zwany; pojął on za małżonkę Kunegundę królewnę węgierską. Bogobojna i dobroczynna ta pani, przybywszy z kraju, w którym kunszta już kwitły, dołożyła starania, iż wzięto się szczerze do dzieła, a skarby

te złożone w ziemi dla dobra i pożytku ludu, dobywać poczęto; było to r. 1252, a zatém przeszło sześćset lat już temu.

Małe oszczędności.

Ziarko do ziarka,
Zbierze się miarka.

—Oj ciężkie czasy, panie Łukaszu! ciężkie czasy! co to będzie daléj począć z tą drożyzną?—mówiła do starego podoficera weteranów, pani Maciejowa sprzedająca włoszczyznę w Starém-Mieście. O co spytaj, drogo: komorne drogie, drzewa się nie dokupić, chléb coraz mniejszy, a o sprawieniu jakiego gałgana, to już ani myśleć; lepiéj to bywało dawniéj, gdyśmy byli młodzi, a dziś na starość wszystkiego człeku brakuje; przyjdzie pono zginąć marnie bez wygody i spokojnego kąta. Tak dowodząc, staruszka wydobyła z kieszeni łubiankę, a otarłszy końcem fartucha rozczuleniem zwilżone oczy, wciągnęła jednym tchem prawie trzy ogromne szczypty tabaki, któréj większą połowę rozsypała po chustce na szyi związanéj.

Pan Łukasz był to sobie stary zuch, człowiek rzadkiéj poczciwości, a przytem rozsądny, wstrzemięźliwy, pobożny i skrzętny jak mrówka.

— Ha! odrzekł po chwili, prawda że biéda, ale przyznaj się też kochana pani Maciejowó czy nie z własnéj to winy brak ci wielu rzeczy?

— Jakto z własnéj winy? co to z mojéj winy? a któżby to chciał sobie samemu na złe? nie wiem, co myślisz o mnie, panie Łukaszu, ale w całém Starém mieście znają mnie wszyscy i wiedzą, żem pracowita i dobra kobieta.

— Oh! to najświętsza prawda i ja sam ci to przyznaję: rzeczywiście jesteś uczciwą, pracowitą i dobrą kobiétą; ale nie o tém mówić chciałem i zaraz lepiéj się wytłumaczę: oto kochana Maciusiowo, nie umiecie się zaoszczędzić w małych rzeczach, a przez to brak nie jednego. Kropelki wody rzekę tworzą, moja sąsiadko; z szelążków dukat powstaje; kto nie oszczędza w małych wydatkach, nigdy większych nie będzie mógł robić. Naprzykład, z przeproszeniem waszém, ile cię codzień twoja tabaczka kosztuje?

— Najwięcéj 4 grosze.

— Najwięcéj, najwięcéj! jakby to było nic, a to bardzo dużo znaczy; czy też obliczyłaś kiedy, wiele to na rok uczyni?

— Nigdy nie myślałam o tém.

— Ale ja myślałem, i zaraz ci policzę: 4 grosze na dzień, to znaczy 4 złote na miesiąc, czyli 8 talarów na rok; teraz częstsze pranie chustek i odzienia, które się prędzéj brudzą od tabaki, niech tylko 2 tal. przez cały rok wyniesie, to już mamy 9 rs., za które możnaby sprawić porządny i ciepły szlafroczek, nową chustkę na szyję, parę trzewików, a może nawet i furkę drzewa na zimę.

— Prawda, panie Łukaszu, ależ kiedy to tak przyjemnie pociągnąć czasem niuch tabaki.

— Przyjemnie, nie przeczę, ale to wtedy dopiero przyjemnie, gdy nałóg wziął górę i obejść się bez téj przyjemności nie możemy. Ja także zażywałem i dużo nawet, alem sobie powiedział: to zawiele kosztuje, mogę lepiéj użyć mego grosza; wyrzuciłem tabakierkę za okno i basta; przykro mi wprawdzie było przez kilka dni z początku, ale potem ani już pomyślałem o tabace; wszystko można, kochana sąsiadko, aby tylko była dobra wola.

— A choćbym się téż i miała czém ogrzać na zimę, to i tak jeszcze wiele innych potrzeb zostanie mi do zaspokojenia. Ujmę sobie przyjemności, a niewiele na tém skorzystam.

— Za pozwoleniem jejmości, dołóżno jeszcze codzienny kieliszeczek...

— Oho! panie Łukaszu, zawielebyście chcieli, kieliszek wódki potrzebny i dla rozgrzania żołądka i dla rozweselenia się czasami z kumą, albo dobrym jak wy znajomym.

— Dziękuję pokornie; ja się nie umiem weselić przy kieliszku, a wy sąsiadko, kiedy rozrywki i zabawy szukacie na dnie kieliszka, to nie narzekajcie na brak, który sobie sami dobrowolnie sprowadzacie.

— Tere fere! panie Łukaszu, bajecie trzy po trzy, a toć przecie nie przepijam majątku, jeśli wydam jakie 5 groszy na wódkę.

— Majątku nie przepijacie, bo go nie macie; ale 5 groszy i 5 groszy, to czyni 10 groszy. 7 jest dni w tygodniu, a 7 razy po 5, to już 35; rok takich dni ma 365, policzcież i tyle pięciogroszówek, to zobaczycie jaka to summa; zaraz wam powiem: oto, także 9 rs. i kilkanaście groszy. Zróbmyż teraz rachunek: tabaczka 9 rs., gorzałeczka drugie 9 rs., macie razem 18 rs., a za nie można mieć i mieszkanie porządniejsze i odzienie ciepłe i dobréj kawy szklankę niekiedy, lub piwa grzanego z masłem i kawałkiem cukru, co lepiéj niż gorzałka rozgrzeje wam żołądek.

A cóż tam grosz! a cóż tam dwa grosze! powiadacie zapominając, że największe skarby z groszów się składają, a jak wam dopiero co dowiodłem, te grosze właśnie, co to tak lecą bez rachunku, opłaciłyby wiele a wiele wygód, bez których się obchodzić z przykrością musimy.

Biedna kobiecina nie miała co odpowiedziéć na tak wymowne, trafne i przekonywające dowodzenie starego żołnierza. Ani niucha tabaki, ani kieliszka wódki, panie Łukaszu, rzekła w końcu smutnie, i jakaż na świecie zostanie przyjemność?

— Przyjemności do których się przyzwyczajamy, odpowiedział weteran, rychło przestają być przyjemnościami, zamieniając się w przykry, a czasem uciążliwy nałóg.

Gdybyśmy chcieli, dobra sąsiadko, moglibyśmy znaléźć inne prawdziwie miłe i pożyteczne rozrywki: jedną z tych na przykład jest czytanie, lub słuchanie książek, jakie dla naszego stanu pobożne i dobroczynne osoby drukować każą. Wierzajcie memu doświadczeniu: „*to co wejdzie do nosa lub żołądka, nie może ukoić trosk serca, a szczęście człowieka nie gdzieindziéj jak w sercu się znajduje.*“ Przyjm Boga do serca, zgotuj Mu w niem mieszkanie, pełniąc po chrześcijańsku obowiązki względem świata i kościoła świętego, a przekonasz się że radość pochodząca z czystego sumienia, warta jest, aby jéj poświęcić niuch tabaki i obrzydły kieliszek, zmieniający najczęściéj ludzi w bezrozumne zwierzęta.

Nie ulega wątpliwości, że niektórzy z klassy rzemieślniczéj, a zwłaszcza téż młódź, oddawszy się w zupełności jednemu z rzemiosł, nie mają żadnéj znajomości rzeczy o drugiém; ztąd téż pochodzi, że niektóre cechy mają znaczną liczbę czeladzi i chłopców, gdy drugim bardzo często na takowych zbywa. Tymczasem sama jedna Warszawa, bez łączenia z nią fabryk i zakładów w kraju tutejszym, przedstawia tak wielką rozmaitość pod względem zakładów pracowniczych, że gdyby tylko dopełniony był trafny, przez obierających sobie rzemiosło wybór, w takim razie bez żadnego zaprzeczenia, zrównoważyłaby się ilość robotników, i żaden z zakładów nie czułby ich braku, ani téż nawzajem zbytecznego przesilenia. Dla dojścia więc do tego pożądanego stanu rzeczy, należałoby się przedewszystkiém, a szczególniéj téż ochotnikom do rzemiosł, obeznać z ową rozmaitością zakładów, jakie miasto tutejsze posiada, a któremi są: fabryki żelaza lanego i machin, odlewów żelaznych galanteryjnych, powozów, gwoździ, wyrobów z drutu, broni palnéj i siecznéj; wyrobów nożowniczych i chirurgicznych, złotych, srebrnych, platerowanych, z nowego srebra, bronzowych i lamp; miedzianych, drukarskich, mosiężnych i dzwonów, guzików, wyrobów optycznych, daléj znowu: dywanów, wyrobów jedwabnych i wełnianych. Co zaś do innych z kolei fabryk, temi są: kapeluszy męzkich, kapeluszy słomkowych, obić papierowych, pieców porcelanowych, luster, fortepianów, ram złoconych, zakłady rzeźby i sztukatorskie, wyroby chemiczne do których należą i tak już pospolite zapałki; fabryki laku, politur, lakierów, wyrobów rymarskich, siodlarskich, świec stearynowych, łojowych i mydeł zwyczajnych i pachniących, daléj szczotek, kwiatów, zabawek dziecinnych, porteru i piwa, wódek, likierów, araku, instrumentów muzycznych, strun, płynu do opalania lamp w miejsce oleju, musztardy, wreszcie zakłady kowalskie, tokarskie, stolarskie, albo rzemiosła rzeźnickie, piekarskie, krawieckie i szewckie.

Mówiąc prawdę, najpowszechniejszemi, czyli najbardziéj znajomemi u nas są tylko trzy rzemiosła, jak np. stolarstwo, krawiectwo i szewctwo. Do nich to najpospoliciéj zwykli tu oddawać w termin, gdy tymczasem, tak znaczna ilość innych równie użytecznych, otwartą jest przed niemi. Aby zatém właściwie odpowiedziéć celowi, należy się zastanowić nad szczegółowym stanem fabryk i zakładów, nie spuszczając przy oddawaniu do rzemiosł tego z uwagi, że im mniejsza w którym z nich liczba robotników, tém łatwiejszy zarobek i prędsza sposobność dojścia do kawałka chleba.

Przysłowia.

Pana Boga proś, a ręki przykładaj.
Kto się prędko bogaci, czasem dobrze przypłaci.
Co dziś opuścisz, jutro tego nie dogonisz.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 30 grud. (11 stycznia) 1855/6 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*